



RZĄD I WOJSKO

Rok V.

Warszawa, 23 maja 1920 r.

№ 21.

PLEBISCYTY.

W miarę jak zbliża się termin plebiscytów na terenach spornych między nami a Niemcami i Czechami wychodzi coraz wyraźniej na jaw osobliwa taktyka naszych przeciwników. I Niemcy i Czesi dążą do wywołania na terenach tych stanu takiego, któryby uniemożliwił pokojowe rozstrzygnięcie sprawy, a doprowadził do konfliktu zbrojnego.

Jednolita opinia polska od pierwszej chwili przeciwstawiała się plebiscytom jako sposobowi rozstrzygnięcia kwestji. Na obu Śląskach nawet tendencyjne dane statystyki urzędowej z czasów przedwojennych wskazywały na to, że większość ludności obu tych krajów jest bezsprzecznie polską. Z punktu widzenia sprawiedliwości zatem zastosowanie plebiscytu było uchybieniem, a z punktu widzenia porządku i spokoju jest środkiem również w najwyższym stopniu niepożądanym. Agitacja plebiscytowa, choćby nawet prowadzona była w sposób jaknajbardziej kulturalny, musi wśród ludności wprowadzić zamęt i dać w rezultacie rozgory-

czenie mniejszości. Do wiadomości jej w okresie agitacji musi dojść cały szereg informacji tendencyjnych i fałszywych zarówno dotyczących się położenia samego kraju, jak też i państw, które spór prowadzą. Musi być rzuconych na szalę mnóstwo przewidywań i horoskopów, które, choćby najzupełniej się nie sprawdziły, muszą po rozstrzygnięciu sprawy działać na pokonaną mniejszość jako sugestja, każąca na każdym kroku doszukiwać się skutków ujemnych oraz krzywd.

Co się tyczy Mazowsza i Warmji, oraz Spisza i Orawy pozornie plebiscyt wydać tam się może środkiem bardziej uzasadnionym, ze względu na niski poziom uświadczenia narodowego tych krajów. Ale tylko pozornie. Trudno jest liczyć na to, by agitacja plebiscytowa rozszerzyła w ciągu paru miesięcy zdrowe uświadczenie narodowe tam, gdzie przez wieki całe panował ucisk narodowościowy. I tam zatem akcja działać musi surogatami, od których znacznie lepszym byłoby sumienne przeprowa-

dzenie statystyki narodowościowej i na jej podstawie rozstrzygnięcie sporu.

Plebiscyt może być środkiem wskazanym tam, gdzie ma się do czynienia z narodowościami, które jako całość nie są jeszcze świadomymi swego istnienia o tyle, by fakt ich odrębności był dla wszystkich niewątpliwym. Może on zatem mieć rację istnienia na Białej Rusi, albo i na Ukrainie; — na polskich kręśach zachodnich jest jednak szkodliwą anomalią.

Mimo takiej opinii i takiego przekonania dyplomacja polska czuła się zmuszoną zgodzić się na plebiscyty. Postanowienia o nich włączone były do tekstu traktatów, zawierających dla Polski zdobyczą wiekowej wagi — stwierdzenie jej niepodległości. Przed tym zasadniczym faktem ustąpić na drugi plan musiały wszystkie inne kwestje, choćby pierwszorzędnej wagi. Opinia narodu przyjęła narzucone nam plebiscyty z uczuciem krzywdy — ale zgodziła się z ich koniecznością.

Tymczasem coś się ukazuje. Oto ci, dla których plebiscyty były ustępstwem, Niemcy i Czesi, rozpoczynają odrazu systematyczną akcję, w celu ich uniemożliwienia jakimkolwiekby sposobem. Dziś akcja ich wygląda w ten sposób, że pod pozorem agitacji plebiscytowej przeprowadza się planowo zanarchizowanie terenów spornych, w celu stworzenia takich warunków, w którychby wkroczenie tam wojsk czeskich czy niemieckich mogło się wy-

dać usprawiedliwionem. Jest to z jednej strony dowód, że tak Czesi jak Niemcy nie mają żadnej nadziei, by plebiscyt mógł dać wynik dla nich pomyślny, z drugiej wskazuje to na fakt niewątpliwy, że tymczasowy zarząd terenów plebiscytowych nie dorósł do swego zadania.

Z tego stanu rzeczy Polska [wyciągnąć winna wnioski — i zastosować odpowiednio swą taktykę.

Więc przede wszystkim: Plebiscyty — chętnie czy niechętnie — przyjęliśmy; musimy więc w dalszym ciągu prowadzić akcję do nich przygotowawczą — tak wśród samej ludności, jak też i na polu dyplomatycznym, — a to w celu zapewnienia sobie jaknajsprawiedliwszych warunków samego plebiscytu.

Z drugiej jednak strony przygotowani być musimy ze strony naszych przeciwników na niespodzianki, najdalej nawet idące. Możemy odpowiednią prowokacją być zmuszeni do użycia siły — w obronie niewątpliwych praw naszych do terenów spornych. Pogotowie wojskowe jest koniecznem już dziś i z dniem każdym będzie się stawało konieczniejszym.

Poza wszystkim innym będzie to argumentem najsilniejszym tak dla naszych przeciwników, jak też i dla aljanckich rozjemców, których obudzi z opieszałości i skłoni do tego, by dolożyli ze swej strony starań ku rozstrzygnięciu spraw drogą pokojową — nie zbrojną.

Adam Skwareczyński.



WALKA O IDEJĘ.

Lopoce wiatr długimi smugami chorągwi... obwieszone niemi ulice Warszawy, Krakowa, Lwowa, Poznania...

Dzienniki wielkimi tytułami jakąś niecodzienną nowinę głoszą...

Rozgorączkowane wokół twarze, gwar po kawiarniach, oklaski w teatrach, gdzie ze sceny odczytują komunikaty...

Na wszystkich ustach jedno słowo: Kijów...

Tak jest. Wojska polskie zdobyły Kijów, prastarą stolicę Rusi. Wojska polskie, jak ongi rotę króla Bolka, ruszyły na wschód w krótkim a potężnym boju ścierając na proch wroga...

To co było dla nas pozółkłą kartą historii, to co nas przenosiło do zamierzających czasów drużyn rycerskich Chrobrego, to co nam bródzą powagi orało czoło, gdyśmy nad stronicami pokoju Grzymułtowskiego się zatrzymywali, to co dla nas zdawało

się niedościgłym nawet w najbardziej zuchwałych planach czy marzeniach — to stało się faktem.

Dnia 8-go maja, roku 1920 piechota polska wkroczyła do Kijowa, po dwutygodniowym zażartym boju...

W całym kraju bito we dzwony i powszechna serca zalewała duma i radość.

* * *

Dziwna jednakże bywa ta radość. Jedni rozprawiają, ile też milionów wartości przedstawiają zdobyte lokomotywy i wagony... zamieniają sprawnym ołówkiem cyfry zdobytych lokomotyw na długie szeregi zer, obliczają miliardy... Radują się, bo wiem w Polsce tak okrutnie brak lokomotyw, więc owa setka zdobytych na bolszewikach to przecież coś warte.

Panie, jakie to bogate tereny—powiadają inni. Toć to ziemia mlekiem i miodem płynąca te olbrzymie obszary ukraińskiej, pszennej ziemi, toć to aprowizacja zapewniona w pełnej mierze, to kolosalne niesłychane zwycięstwo...

Inni zaś przejęci są dumą i radością ze swego wojska. Ach to kochane wojsko! To smoki, to djabyli—im się nikt nie oprze!

Tak, tak... No i Naczelnny Wódz...

No, naturalnie,—Piłsudski...

* * *

Taki jest nieomal powszechny sąd o tej zaiste bajecznej, genialnej ofenzywie. Taka radość zalewa serca. Z tych przyczyn...

A jednak należy pomyśleć. Bo oto w szóstym roku europejskiej wojny, gdy pono za wolność narodów, za cywilizację i kulturę przelewano morza krwi, wydawano miljardy, tracono miliony istnień ludzkich, gdy po tak strasznych wstrząśnieniach całej psychiki ludzkości należało się spodziewać, że hasła tylekroć wznoszone uznane wreszcie będą—dzieją się rzeczy straszne, dzieją się ciągle te same, co ongi, co przed wojną...

Nad „sinfenistami“ irlandzkimi sroży się brutalna siła wezechmożnego Albionu, na którego nie masz żadnego Boga ni Ligi Narodów. Włosi nie chcą oddać Dalmacji i szczerzą się na wszystkich, ktokolwiek im by chciał zdobyć odebrać. Wilsonowska Ameryka ponoć naprawdę i po amerykańsku zmusza do samobójstw ostatnich murzynów. Niemcy—z utratą polskich terenów nie pogodzą się za nic. Rosja, czy denikinowska, czy bolszewicka żąda rewindykacji ziem zachodnich bądź w formie ofenzywy Kamieniewa, bądź w formie memorjałów sazonowskich. Kramarz wygłasza mowy, w których grozi, że Słowacy będą się musieli wyrzec swego języka...

I oto w takiej chwili, kiedy nad całą Europą, skrwawioną i znękaną do ostateczności wojną o „wolność i samostanowienie“ sroży się najzachłanniejczy imperjalizm i zaborczość, kiedy ze wszyst-

kich stron wyciągają się drapieżne, pokurczone z chciwości ręce po cudzy dobytek, kiedy jęczą jeszcze całe narody, kiedy siła przed prawem, przed duszą i sercem ludzkości ma bezwzględne i jedyne pierwszeństwo—w takiej chwili pojawia się na horyzoncie europejskiej polityki odezwa Naczelnika Państwa Polskiego wyzwającego Ukrainę z pod obcej, wrażej przemocy, darowująca im to, co zdobyte zostanie polską krwią, rezygnująca własnowolnie ze zdobytych obszarów, które przez wiele wieków dzierżyła Polska królewska dłoń...

Jeżeli się weźmie wszystkie te sprawy pod uwagę, jeśli się nad nimi zastanowi, jeśli porówna się te fakty z tymi, które nas wokół otaczają—zaprawdę promienną twarzą można spojrzeć w przyszłość. Robimy wielki skok naprzód, przemierzamy milowami krokami drogi ludzkości, zostawiamy daleko poza sobą całą tak „kulturalną“ Europę. I nie tylko dziś. Bo oto, gdy jeszcze teraz powiada Kramarz że muszą się Słowacy języka swego wyrzec, gdy tak niedawno nieubłagane ścigano polskiego słowa wyraz nad Notecią czy nad Wilją, myśmy już od wielu lat przyzwyczajeni byli do takich, chociaż drobnych dokumentów jak ten, który znajduje się w Wilnie, z podpisem kancelarii Zygmunta Augusta; —najojojētniejszy w świecie zwitek pergaminu, a jednak bogatą treść przedstawiający. Jakieś rozporządzenie, dotyczące porządku na targach wileńskich, wydane w r. 1561 przez króla, który wyraźnie poleca ogłoszenie tej ustawy targowej w trzech językach: po polsku, po rusku i po litewsku...

Takie są fakty, takie dokumenty przeszłości i chwili dzisiejszej...

To też stwierdzić należy, że jak ongi tak i dziś idziemy naprzód i w dziedzinie ducha. Należy pamiętać, że odezwa Naczelnego Wodza, świetna ofenzywa przezeń prowadzona, uwieńczona zwycięstwem Kijowa, to nie tylko jeden z etapów wojny polsko-rosyjskiej, druzgocący groźną dla nas potęgę Moskwy, lecz również, a może i przede wszystkim potężna walka o ideję, która tryumfem polskiego ducha na wieki pozostanie.

Wacław Lipiński.

POLACY A CZESI.

Polityczny stosunek nasz do Czechów — na tle aktualnych kwestyj spornych, znany jest naszym czytelnikom. Pragnąc jednak pogłębić znajomość charakteru czeskiego i jego przeciwieństwa w zestawieniu z naszym, umieszczamy pracę najwybitniejszego może w Polsce znawcy Czech.

(Red.)

Przy całym swoim realizmie polityka liczy się przeważnie, a nieraz jedynie, z rzeczywistością rzucającą się w oczy, pomija zaś lub za mało uwzględnia tę rzeczywistość, która jako istota rzeczy, niedostrzegalna na pierwszy rzut oka, stanowi grunt i podwalinę wszystkich przejawów życia danej dziedziny. Tak np. ocena kultury materialnej, bez uwzględnienia jej wyprzedniczki, kultury duchowej danego narodu, byłaby oceną skutków, bez trószczenia się o przyczyny. Postępowanie metodyczne prowadzi od czynów, dążeń i wysiłków pew-

nej społeczności do jej charakteru, urabianego w ciągu stuleci. Jako wytwór całej wieloletniej przeszłości narodu, posiada charakter cechy względnej stałości i z przesłanek poznanych dziejów minionych pozwala wnioskować o rozwoju dziejów przyszłych. Wnioskowanie będzie, oczywiście, o tyle trafniejszym, o ile dokładniejszym będzie poznanie charakteru narodowego.

Społeczeństwo nasze zna Czechów bardzo powierzchownie. Przed wojną słyszało się u nas jednokrotnie zdanie, że Czesi to ordynarne groszo-

roby, muzykanci i chytry politycy, gotowi dla własnej korzyści każdej chwili wyprowadzić w pole nie tylko wroga, ale i sprzymierzeńca. O ich języku opowiadano sobie anegdoty niezawsze smaczne i wogóle względem wszystkiego, co czeskie, okazywano wyniosłe lekceważenie. Entuzjastyczny idealizm polski, który przysłowiłem o słomianym ogniu sam oskarżał się o niestałość i nietrwałość, spoglądał z góry na rozsądny i stateczny realizm czeski, który liczył każdy grosz i skrupulatnie mierzył zamiary na siły.

Nie lubiano u nas Czechów, w czym zresztą Czesi zawiniли sami swoim mentorskim tonem względem Polaków. Małopolanom zarzucali nadmierną lojalność względem Austrii i Habsburgów, podczas gdy sami nie przestawali dawać wyrazów swego lojalizmu austriackiego, Królewiakom brak dobrej wiary względem „braci” Rosjan. Nie chcieli czy nie umieli rozumieć i ocenić pobudek postępowania Polaków w zaborze austriackim i zamykali oczy na krzywdy, jakich dopuszczała się względem nas Rosja. Traktowali nas jako zdrajców hodowanej przez się idei słowiańskiej wzajemności i w swym bezkrytycznym uwielbieniu dla Rosji oskarżali nas, że w eksterminacyjnej polityce rosyjskiej zawiniliśmy sami.

W takich warunkach porozumienie było utrudnione a nawet niemożliwe. Mielśmy z sobą zbyt mało do czynienia, abyśmy poznać się mogli. Usiłowania Jelinka, a później Hovorki wydawały owoce w szczupłym gronie ich przyjaciół, szersze koła inteligencji po jednej i drugiej stronie trwały w swych uprzedzeniach. W czasie wojny pogląd na Czechów zmieniał się u nas niejednokrotnie i różnicował zależnie od poglądów politycznych. Masowe dezercje Czechów z szeregów austriackich uważano za bohaterstwo w tych kołach naszych, które usiłowały wierzyć obietnicom rosyjskim, natomiast zwolennicy polityki legionowej widzieli w tej rusofilskiej dezercji Czechów dowód ich zdradliwości, a nawet tchórzostwa. Po drugiej rewolucji rosyjskiej i po pierwszych starciach Czechów z Niemcami i bolszewikami, rozbieżne zdania o nich zmieniły się w podziw dla śmiałego poczynania legionów czeskich i ich pochodu skroś Rosji. Wszystkie pisma polskie usposobione antybolszewicko odzywały się o czynach legionistów czeskich z podziwem i wyrażały nawet nadzieję, że Czesi zgniotą ten ruch przeciwkulturalny. Lecz oto wyłoniła się sprawa cieszyńska i zdanie nasze o Czechach ponownie uległo zmianie. W tych samych pismach, które sławiły męstwo legionistów czeskich za ich walki z bolszewikami i wyrażały podziw dla Masaryka, Kramarza i Benesa, czytaliśmy o Czechach, że są to zachłanni zbójce, zdrajcy i chciwcy i sprusaczeni kupcy, z którymi pertraktować należy jedynie z orężem w ręku.

Do tego rozgoryczenia u nas przeciw Czechom przyczyniali się oni sami bezustannie, ale fakt, że w krótkim stosunkowo czasie tylekrotnie zmienialiśmy swoje o nich zdanie, świadczy, iż nie mieliśmy, a bodaj dotąd nie mamy, o nich zdania ustalonego, że ich nie znamy tak, jak ich ze względu na bliskie sąsiedztwo, obecną rozbieżność interesów i konieczność utrzymania z nimi stosunków w przyszłości, znać powinniśmy.

Nic bodaj nie charakteryzuje tak różnic, zachodzących między dwoma narodami, jak to, w czym te narody czczą swoją własną wielkość. Synonimem Polski wczorajszej, dzisiejszej i jutrzejszej jest Mic-

kiewicz, uosobieniem Czech był, jest i zawsze będzie Hus. Mickiewicz wyrastając ze stuleci minionych, łączy je imieniem swoim z przyszłymi i staje się ojcem duchowym tragicznego bohaterstwa Polski, nieprzejdanej w swym dążeniu do wolności politycznej. Jest wieszczem, prorokiem narodu na drodze jego przeznaczeń i uosabia w sposób najszlachetniejszy miłość Ojczyzny, podnosząc ją na poziom uczucia niemal religijnego.

Hus natomiast uosabia miłość wolności sumienia religijnego i jest przede wszystkim pedagogiem, nauczycielem swego narodu. Mickiewicz porównywa swym entuzjazmem, mocą i pięknem swego słowa, Hus przekonywa argumentami rozumowymi, moralizuje, naucza. Dwie te postaci, acz przedzielone stuleciami, są uosobieniem dwu narodów i drogowskazami ich wydarzeń losowych. Z jednej strony mamy potęgę uczucia, z drugiej stanowczość rozważań. Wprawdzie Mickiewicz w swych Prelekcjach paryskich jest wspaniałym pedagogiem, ale naród kocha go i uwielbia dotąd jako wieszczę i mocarza słowa. Z drugiej znów strony w Husie nie brak pierwiastka entuzjazmu, ale naród czeski widzi i czci w nim nauczyciela.

Warneńczyk, Sobieski, Kościuszko, ks. Józef, Traugutt, Piłsudski, to imiona, które nie budzą refleksji, ale przyspieszają bicie serca i są pobudką do czynu. Genjusz Mickiewicza tęczyje ich wspaniałością, jako duchowy potomek jednych, ojciec drugich. Natomiast duchowi przodkowie i potomkowie Husa imionami swymi budzą przede wszystkim refleksję, zastanowienie, a czyn wywołują drogą sylogizmów.

W Mickiewiczu, Słowackim, Krasińskim, żyje treść dziejów narodu: wspaniała tradycja rycerska wielkich królów i wielkich wodzów. Dla narodu czeskiego tradycja królów-rycerzy przerwała się w stuleciu XIII, wraz z tragicznym zgonem Przemysła Otokara na Polu Morawskim. Miejsce wodza-rycerza zajmuje wódz-pedagog. Konrad Waldhauser, Milicz z Kromierzyża, Maciej z Janowa i Hus to przodkowie szeregu nauczycieli, który poprowadzą naród czeski zrazu ku tragedji Białej Góry, ale i poprzez nią ku odrodzeniu i wreszcie ku niepodległości. Konrad Waldhauser, Milicz z Kromierzyża i Maciej z Janowa, jako poprzednicy reformacji czeskiej głosili konieczność odrodzenia moralnego. Konflikt ich z Kościołem jest w perspektywie historycznej rzeczą drugorzędną. Hus na początku stulecia XV ulega wpływowi Anglika Wycliffa, ale ze sprawy jego czyni sprawę całego swego narodu. Tragiczny zgon tego profesora uniwersytetu praskiego zbudził cały naród do czynów, które stworzyły kapitał duchowy dla całych stuleci. Zdawałoby się, że Żyżka wskrzesza tradycję rycerską narodu, ale Żyżka, Prokop Lysy i wogóle Taborcy to znowuż jeno nauczyciele, posługujący się tylko innymi metodami pedagogicznymi. Miato Tabor stało się synonimem pragnienia wolności ducha i dla tego po pięciu stuleciach nowy wódz i znowuż nauczyciel narodu Masaryk, mógł być rzec, że Tabor jest programem narodu czeskiego. Taborcy z Żyżką na czele chadzali do boju z pieśnią „Kdoż jstę Bożi bojownicy”... Nie walczyli o panowanie nad ziemiami, ale o wolność sumienia. Dysputę teologiczno-moralną prowadzili innymi środkami i metodami, niż ich poprzednicy.

Zakończenie epopei husyckiej było tylko pozorem. Przystano walczyć orężem żelaznym i pod-

jęto na nowo oręż ducha. Waldhauser, Milicz z Kromierzyża, Maciej z Janowa, Hus, Żyżka, Prokop znaleźli w wieku XV i XIV kontytuatorów w Bracich Czeskich, uczonych tłumaczach i komentatorach Biblii, a przede wszystkim, rzecz charakterystyczna, w jednym z największych pedagogów świata, Janie Amosie Komenskim, który po klęsce białogórskiej przez czas niejaki gościł na wolnej ziemi wielkopolskiej, w Lesznie. Jest on nie tylko wielkim teoretykiem pedagogicznym i twórcą szkoły nowoczesnej, ale przede wszystkim nauczycielem swego narodu. Pisma jego były potajnym pokarmem duchowym narodu w ciągu obu stuleci tragicznego letargu: XVII i XVIII.

I znowuż rzecz znamienna: gdy echa wielkiej rewolucji francuskiej budzą naród czeski do nowego życia, między przednimi „budzicielami“

widnieją postacie Dobrowskiego, Jungmana, Szafarzika, pedagogów z powołania. Czyż można uważać za przypadek, że w ciągu szeregu stuleci, od XIV poczynając, prowadzą naród czeski pedagogowie? Hus był profesorem uniwersytetu praskiego, Komensky twórcą szkoły nowoczesnej, „budzicielem“ w końcu XVIII i na początku XIX stulecia również byli profesorami. Ale tradycja nauczycieli nie urywa się na nich. Historjograf czeski, Palacky, jest nauczycielem narodu w pełnym znaczeniu wyrazu. Ci, co przychodzą po nim lub pracują z nim razem, są także przede wszystkim nauczycielami narodu. Rieger, Havliczek-Borowsky, Tyrs, Fügner wychowują naród pod względem politycznym, moralnym i fizycznym. (C. d. n.).

Paweł Hulka Laskowski.

Cześć kobiecie-żołnierzowi!

Ministerstwo spraw wojskowych utworzyło, jak wiadomo, osobny wydział, którego zadaniem jest zorganizowanie i usystematyzowanie pomocniczej służby kobiet w wojsku za pomocą rozszerzenia organizacji Ochotniczych Legji Kobietych na wszystkie Okręgi generalne. Zanim wyczerpująco przedstawimy stan obecny i perspektywę tej sprawy na przyszłość umieszczamy piękny szkic poniższy nadesłany nam ze Lwowa, a przedstawiający obrazowo początki pracy wojskowej kobiet.

(Red).

Są pojęcia, z którymi społeczeństwo cywilizowanego świata tak się zżyło, że wszelka nowość, nie krocząca ich tradycją utartym torem, napotyka w niem na niedowierzanie, niechęć, a nawet na wprost wrogie usposobienie. Do takich pojęć należy także „Powołanie kobiety“.

W prawdzie na długi już czas przed ostatnią wojną, dokonała się na tem polu ewolucja i zaznaczyła się wyraźnie dążność do zapewnienia kobiecie samodzielności nie tylko w dziedzinie prywatno-prawnych stosunków,—lecz przeciw pozostała jedna dziedzina przez to zagadnienie nie tknięta, o której nawet najzaciętsze bojowniczk „równouprawnienia kobiet“ nie myślały, a raczej nawet wykluczały ją ze swego programu.

Dziedzina ta jest wojsko. „Kobieta—żołnierz“ zdawało się być taką sprzecznością w założeniu, że nawet często było używanem jako argument przeciw emancypacyjnemu dążnościom kobiet.

Wprawdzie historia świata od najdawniejszych lat nie jeden daje nam przykład udziału kobiet w walkach orężnych, a specjalnie nasze dzieje w nie obfitują, jednak pomijając wielki procent legendarności tych wypadków, to nadto były one tylko sporadycznymi przejawami, mającymi swe źródło w indywidualnym usposobieniu jednostki, pobudzonem przez szczególne zewnętrzne wypadki i w niczem nie naruszały tej uświęconej tradycją zasady „pokojowego powołania kobiety“. Bohaterskie czyny kobiet na polu walki, pozostały więc własnością historii a wpływ ich zaznaczył się tylko w literaturze.

Dopiero ostatnie czasy przyniosły nam i na tem polu tyle i takich objawów, że trudno nie zwrócić na nie głębszej uwagi. Już nie jest to zewnętrzna siła, wytrącająca kobietę z jej utartej drogi i porwijąca ją do sprzecznych z jej usposobieniem

i tradycyjnem powołaniem czynów, lecz jakby zbudzenie się uspiętej w jej duszy energii, której istnienia nawet nie przypuszczaliśmy. I nie są to sporadyczne wypadki, potwierdzające regułę, lecz jakby nowy prąd życia, znaczący na jego wodach świeży nurt, powstały w zbiorowej duszy kobiecej.

Nie mam zamiaru rozbierać ogólnie społecznej doniosłości i zagłębiać się w przyczyny i skutki tej ewolucji. I nie chcę wszczynać polemiki na temat praktyczności i stosowności. Rzeczą tą zajmować się będzie kiedyś historia, która w perspektywie czasu lepiej zaobserwuje ten objaw, a wolna od uprzedzeń i wpływów aktualności, trzeźwo i bezstronnie go osądzi. Ograniczę się tylko do rejestracji faktów i podniesienia tych momentów, które oparte na przedmiotowych danych, przedstawiają rzecz we właściwym świetle, zapobiegając bałamuceniu opinii publicznej legendą i złośliwym często kłamstwem.

Kobieta—żołnierz w nowoczesnem znaczeniu, zrodził się we Lwowie w listopadzie 1918 r. Zbyt znane są to dzieje, by się nad niemi rozwodzić. Lwowskie kobiety i dzieci, zdobyły sobie jasne miejsce nie tylko w naszej historii, lecz stały się własnością całego świata, jako przykład, do jakich wyżyn bohaterstwa i poświęcenia może się wznieść duch ludzki, pod wpływem miłości Ojczyzny.

Lecz z ukończeniem tych niezapomnianych walk listopadowych nie skończyła się wojskowa służba kobiet. Przeciwnie, ten żywiołowy wprawdzie, lecz nieskoordynowany odruch, zaczyna zataczać coraz szersze kręgi i przybierać coraz wyraźniej oznaczone kształty. Tragiczne chwile, jakie mało które miasto nawet w czasie tej ostatniej wojny przeżywało, znalazły trwały i głośny oddźwięk w sercach i duszach kobiet i jesteśmy świadkami, jak coraz więcej ich garnie się pod broń. Już nie

dziesiątki, lecz setki kobiet i nie tylko ze Lwowa, lecz i z dalszych, nawet bardzo dalekich stron, spieszy na pomoc zagrożonemu miastu i w najgorszych warunkach, wśród gradu kul, o chłdzie i głodzie, trwa na stanowiskach długie miesiące, bez odpoczynku, a co gorzej, nieraz wśród szydu i obmów, płynących bądź z zapoznania i niezrozumienia istotnego stanu rzeczy, bądź też z rozmyślnej chęci zniesławienia tej szczytnej, dobrowolnej ofiarności.

Służba ich początkowo była różnorodna i można powiedzieć, obejmowała prawie wszystkie działy wojskowe. Jedne, a zwłaszcza te, które brały udział w walkach listopadowych, pozostały i nadal w bojowych oddziałach, drugie pełniły służbę pomocniczą jako telefonistki lub kurjerki, inne znowu, były sanitariuszkami, i to na froncie, a część nawet utworzyła osobny oddział bojowy, który przez pewien czas samodzielnie zajmował jeden odcinek lwowskiego frontu. Największa liczba jednak poświęciła się służbie bezpieczeństwa i wartowniczej.

Społeczeństwo polskie, a nawet władze wojskowe z niedowierzaniem początkowo przypatrywały się tym poczynaniom. Wprawdzie dzieje listopadowe przekonały wszystkich dowodnie, że i kobieta zdolna jest do orężnych czynów i potrafi śmiało zaglądać śmierci w oczy, jednak po pewnie, wiele z tego kładziono na karb wyjątkowej podniosłości chwili i wynikającej z tego egzaltacji kobiecej, po drugie, ilość tych kobiet nie była tak znaczna, by nie można było poczytać ich za wyjątki. Żeby jednak setki kobiet mogły się zaprzężyć do tej szarej codziennej służby wojskowej, wymagającej nie tylko ofiarności życia, lecz także podporządkowania całego swego jestestwa systematycznemu jej mechanizmowi, myśl ta była nową, tak obcą, że ogół przyjął ją ze sceptyzmem, a wielu nawet z niechęcią. Więc gdy coraz częściej i liczniej poczęły przewijać się po mieście te szare postacie, nie towarzyszył im żaden poklask i przychylny szmer głosów, który tak często witał męskie oddziały i był im nieraz nagrodą za ciężkie trudy w służbie Ojczyzny. Zdziwienie z niedowierzaniem zmieszane, lub natrętna ciekawość, z jaką ogląda się rzadkie zoologiczne okazy, towarzyszyły im. A ileż to razy—jak się sam o tem przekonałem—nie jedna z nich wracając strudzona z pozycji, gdzie co dopiero odpierała zażarty łatac na miasto, lub z warty, na której swoją czujnością i odwagą zapobiegła zamachowi ukrytych w mieście wrogów na ważny wojskowy obiekt, spotykała się z idyotycznie dowcipną lub nawet z obelżywą uwagą!

Tylko ten, kto przeżył te piekielne miesiące oblężenia Lwowa, może mieć należyte pojęcie o nadludzkich trudach, na jakie nasz żołnierz był wystawiony. A między służbą żołnierza mężczyzny a kobiety, nie było żadnej różnicy. Śmiało mogę to stwierdzić, gdyż osobiście się o tem przekonałem, czy to walcząc z nimi ramię przy ramieniu w niezapomnianych listopadowych czasach, czy też później, przypatrując się z bliska ich działalności i mając urzędowy dostęp do informacyjnych źródeł.

Władze wojskowe były też pierwsze, które się poznały na ich wartości i potrafiły ją ocenić, zlecając im nieraz najcięższe i najodpowiedzialniejsze posterunki. Któż z nas Lwówian nie pamięta tych strasznych końcowych dni grudnia 1918 roku, gdy nieprzyjaciel już przerwał był prawie naszą linię obronną, a miasto zasypywał gradem po-

cisków! Wtedy to oddziały kobiece objęły w mieście obok M. S. O. służbę bezpieczeństwa, a jeden oddział obsadził ważny odcinek frontu, z którego mimo zażartych ataków i krwawych ofiar, nawet na krok się nie cofnął. A gdy ci, którzy nie mogli pogodzić się z myślą o wojskowej służbie kobiet, wysłali do Dowództwa deputację z prośbą wycofania ich, otrzymali odpowiedź, że to jest niemożliwe, gdyż niema wojska by je zastąpić, a one pełnią swą służbę bez zarzutu.

Było to pierwsze uznanie najkompetentniejszej chyba władzy i pierwsze zwycięstwo tej myśli kobiecej.

I wtedy to władze wojskowe przekonawszy się o realnej wartości wojskowej służby kobiecej, przystąpiły do poważnej i celowej jej organizacji, czego wynikiem było utworzenie *O c h o t n i c z e j L e g i i* Kobiet dla celów wartowniczych. Do nich wcielono też wszystkie oddziały kobiece, a więc także te, które pełniły służbę na froncie.

Lecz nie myślcie, by z tą chwilą nastąpiła ulga w ich służbie. Przeciwnie—z chwilą wciągnięcia ich w prawidłowy tok służby żołnierskiej, włożono na nie na tym samym regulaminie oparty obowiązek jej spełnienia, i nie czyniono żadnej różnicy. A ciężką była ta służba. Nieraz po dwadzieścia godzin na dobę trzeba było ją pełnić i to wśród gradu kul zasypujących miasto, wśród licznych zamachów wrogów i szumowin społeczeństwa, na mrozie lub deszczu, w lekkim odzieniu i w po-dartem obuwiu...

Któż z nas nie pomni tej strasznej, popielcowej środy 1919 r. gdy na dworcu towarowym nastąpił wybuch amunicji, a nieprzyjaciel gotując atak, huraganowym ogniem ostrzeliwał miasto. Puste były ulice, jakby całe miasto wymarło, a liczne pociski zmuszały większość mieszkańców do krycia się w piwnicach. Lecz Ochotnicza Legia Kobiet wytrwała na swym posterunku, dzielnością swoją i zimną krwią w akcji ratunkowej, zdobyła sobie zaszczytne uznanie Dowództwa naszego frontu. I ono też, coraz cięższe i odpowiedzialniejsze zleca jej posterunki, wkrótce najważniejsze obiekty, wymagające tak osobistej dzielności i nieustannej czujności, jak i szczególnego poczucia uczciwości, im powierza.

Więc pełnią wartowniczą służbę i przy obronnej pozycji dział, odpierając nie jeden atak sabotażu i przy magazynach, i na dworcu towarowym, strzegąc beżcennego w owych czasach materiału wojskowego i żywności dla mieszkańców miasta.

Im to zawdzięczać należy, że te szczupłe lecz nie do zastąpienia i nabycia w owe czasy matariały, zachowały się bez wyjątku prawie, zapewniając wojsku możliwość wytrwania w walce z przeważającym wrogiem, a mieszkańców ratując od ostatecznego głodu.

A nie obyło się bez ofiar.

Niejedna kula świsnęła im koło uszu i niejedna ugodziła. Kilka z nich rozszarpały granaty, a na dworcu, przy magazynach, czyhały na nie zbrodniczą ręką, wśród ciemności nocy niespodzianie otwierane zapadnie, lub gniotły im kłatki piersiowe zde-rzaki wagonów. I nie szczędziły ich choroby. Niejedna bezpowrotnie utraciła zdrowie i niejedna życiem zapłaciła swój szlachetny poryw. Przyjdźcie na nasz „Cmentarz obrońców“, a przekonacie się, jak długi ściele się tam szereg mogił kobiet—żołnierzy...

Lecz nie to było najgorsze.

Na trud, rany i śmierć, [były one przygotowane i przyjmowały je jako żołnierską powinność. Gorszą od nich była ta zjadliwa ślina, którą usiłowano je opluć. Moralny kretynizm, świętoszkostwo i dulskość, nie mogąc znieść ich moralnej wyższości, usiłowały je spotwarzyć i ośmieszyć, aby w ten sposób zmusić je do ustąpienia. A w tych usiłowaniach wspierała je... zbrodnia...

Niezmożona czujność O. L. K., jej nadzwyczajna uczciwość, uniemożliwiały zbrodniczą robotę tej wstrętnej mafii, która w tych czasach tak wszędzie się rozwielała.

Te zamachy na dworcu, na które tak często były narażone legionistki, jej były dziełem, a tak samo większość rosiewanych obmów i plotek, które niestety nieraz znajdowały posłuch nawet u uczciwych, lecz ograniczonych umysłów. Nawet niektóre organy prasy dały się nadużyć do tej walki, a nie mogąc wystąpić z konkretnymi zarzutami, usiłowały ośmieszyć i poniżyć ich działalność, aż wreszcie władza wojskowa musiała im przypomnieć, że O.L.K. jest oddziałem Wojsk Polskich, a występowanie przeciw niej, jest przestępstwem, za które będzie się winnych pociągało do odpowiedzialności.

Przykre to rzeczy i wolalbym ich wcale nie poruszać, lecz czynię to, gdyż dopiero w tem oświeceniu, występuje plastycznie prawdziwa wielkość tego porywu i wielkoduszość tych kobiet żołnierzy. Znana to rzecz oddawna, że najgorsze rany zły język zadaje, a kto się i tych ran nie lęka i wytrwa na stanowisku, ten jest prawdziwym bohaterem, większym nieraz od tego, który bez trwogi patrzy śmierci w oczy!

Takimi to bohaterkami są właśnie legionistki.

I dzięki tej wytrwałości, będącej najlepszym probierzem wartości czynu, doczekały się one wreszcie uznania i to tak poważnego, że wobec niego muszą umilknąć wszystkie przeciwne głosy, a opinia publiczna musi je uznać i oddać im należny szacunek.

Oto Ministerstwo Spraw Wojskowych dnia 11 lutego 1920 wydało następujący reskrypt:

„W związku z nadzwyczajnymi warunkami obrony i oblężenia Lwowa w początkowych walkach z Ukraińcami, czyli w czasach najkrytyczniejszych dla Wschodniej Małopolski, tworzone zostały przy byłem Dowództwie W. P. na Galicję Wschodnią Oddziały Ochotniej Legii Kobiet, które to oddziały oddały Wojsku Polskiemu ogromne usługi. Z chwilą dalszego rozwoju Armji Polskiej, poleciło Min. Spr. Wojsk. ze względów zasadniczych wycofać Oddziały O. L. K. ze służby frontowej i przeznaczyć je do służby garnizonowo-lokalnej i pomocniczej w Okręgu Generalnym Lwowskim. Pełniąc służbę wartowniczą przy składach i wytwórniach

wojskowych, nadają się Oddziały O. L. K., wedle dotychczasowych doświadczeń i do tej służby pod każdym względem znakomicie przez wysoko rozwinięte poczucie obowiązku i wzorową karność. Z tych wszystkich względów zatwierdza M. S. W. wniosek D. O. Gen. Lwów z 27.IX.1919, a mianowicie:

Z Oddziałów O. L. K. sformuje D. O. Gen. Lwów Baon Wartowniczy O. L. K. Nr. 1...“

Dalsze ustępy reskryptu odnoszą się do organizacji Baonu, a z tych najważniejszych jest ten, który ustanawia dla O. L. K. tę samą przysięgę co dla żołnierzy, poddaje je tym samym co dla nich przepisom i nadaje im te same prawa.

Ustawowowe podniesienie legionistek do godności żołnierza polskiego jest chyba najlepszym dowodem ich wartości, a że nie stało się to bez poważnych badań świadczy najlepiej okoliczność, że wniosek z września 1919 dopiero teraz został załatwiony. Wyrazy najwyższego uznania, z jakim wyraża się ten reskrypt o usługach O. L. K. są dla niej najlepszym zadośćuczynieniem za ich trudy i przykrości i można się spodziewać, że jeśli ich one nie zachęcą do dalszej pracy—gdyż takiej zachęty nie było im trzeba dotychczas—to w każdym razie ulżą im ją moralnie i ułatwią spełnianie zadania. Dodać należy, że tą nową instytucję postanowiło M. S. W. zaprowadzić przy wszystkich Dowództwach Okr. Generalnych.

Jakim torem potoczy się dalej ta akcja i jakie przybierze rozmary, czy wytworzy się u nas nowy typ społeczny „kobiety żołnierza“, który nawet w czasach pokoju i normalnych stosunków może wielkie oddać usługi, ujmując w swe ręce biurowe i gospodarskie zadania wojskowej maszyny, czy też przejaw ten pozostanie tylko świetnym epizodem tych epokowych czasów, nie wiadomo jeszcze. W każdym razie, ten nowy odruch duszy kobiecej odkrywa nam w niej świeżą i nieznaną dotychczas stronę, dowodząc jej zdolności także na tych polach od których dotychczas, przez naszą tradycją ustalone pojęcia i wychowanie była wykluczona.

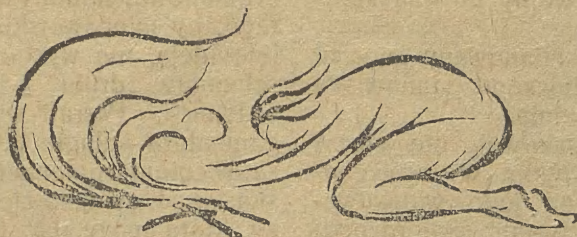
Dla naszej Ojczyzny jest on nadto szczególnie wartości, gdyż dowodzi przed światem tężyzny naszej dyszy polskiej i daje miarę, do jakich wyżyn wznieść się może czyn polski pod wpływem Świętej Miłości Ojczyzny.

Więc za ten dowód przed światem i za te trudy, walki, rany i śmierć powinno im, całe polskie społeczeństwo oddać serdeczne i gorące żołnierskie pozdrowienie:

Cześć kobiecie-żołnierzowi!

Lwów, Luty, 1920.

Władysław Orobkiewicz





ZOŁNIERZ POLSKI

Generał porucznik Sosnkowski.

Pamiętam — niewiele lat temu, najwyżej dzieśnięć, na jednym z koleżeńskich komersów członków Związku Strzeleckiego we Lwowie, po gorącym przemówieniu dzisiejszego ppulkownika szt. gen. Kukiela, piliśmy zdrowie „pierwszego oficera polskiego” — „obywatela Szefa” Sosnkowskiego.

Widzieliśmy bardzo jasno, że wśród tej braci oficerskiej, która już wtedy w pstrokaciźnie ubrań cywilnych i wśród niedostatku środków technicznych kształcenia się wzrastała pod silną ręką wychowawczą Komendanta Głównego, ten oto „obywatel Szef” najstarszym jest nie tylko stopniem organizacyjnym, ale i dojrzałością wewnętrzną, tą mocą charakteru i woli, która każe innym, służącym tej samej sprawie, uznawać jego prawa do kierowania i rozkazywania.

Pod Komendancie, który zawsze w pojęciu naszym przetrwał typ wojskowca, a był wodzem nie tylko w wojskowym, lecz w ogólnie narodowym tego słowa znaczeniu, Szef był głównym kierownikiem organizacji — i stawał się dla wszystkich „związkowców” wzorem oficera w polskim, niepodległościowym i republikańskim tego słowa znaczeniu.

Dziwne są dziś te wspomnienia. Tak trudnem do wiary wydaje się, że zuchwałe wierzenia garści „zapaleńców” stały się ciałem. Mocą zorganizowanej, ich woli, pracy i wiary stali się oni tem, czem być chcieli: głównym zaczynem organizacyjnym republikańskiej armji, — Komendant ich, Wodzem narodu, a Szef organizacji — pierwszym oficerem Rzeczypospolitej, wiceministrem wojny, główną sprężyną organizacyjną armji.

Jakąż drogą doszedł nowo mianowany generał porucznik Sosnkowski do dzisiejszego stanowiska i do tej roli ogromnej, którą spełnia.

Nie kończył akademji wojskowej, nie służył w żadnej armji zaborczej, ani wogóle w armji żadnego państwa. Wychowaniu więc jego wojskowemu brak tej papierami i świadectwami stwierdzonej „fachowości”, która do niedawna w niektórych sferach wojskowych, a nawet w pewnych kręgach

opinji publicznej uchodziła za jedynie miarodajną. Natomiast od początku swej dojrzałości był zawsze tam, gdzie zaczynała się praca około zbudowania siły zbrojnej. Dziś zapewne mało kto wie o tem, że w latach rewolucji 1905—6 Sosnkowski był przez czas jakiś komendantem Warszawy, jako okręgowiec Organizacji Bojowej P. P. S. na miasto Warszawę. Postawiły go na tem stanowisku nie względy polityczne, — politykę Sosnkowski brał zawsze mniej ze strony „zasad programowych”, a bardziej jako warstwą pracy rzeczywistej. To raczej jego wrodzone zdolności i aspiracje rycerskie każyły mu szukać pracy wojennej tam, gdzie ona jedynie szczerze i uczciwie była postawioną.

Od czynu zbrojnego przeszedł założonym przez niego głównie Związku Walki Czynnej do teorii i nauki. Jego zdobyta własnym trudem wiedza wojskowa stała się drogowskazem dla coraz liczniejszych rzesz związkowych, tych ludzi, którzy dziś od gen. Śmigłego począwszy, a na licznej gromadzie poruczników i podporuczników legionowych skończywszy, stanowią najpewniejsze, stalowe kłamry montujące nową, a tak już potężną budowlę armji polskiej. Jego wola, jego autorytet moralny i jego nienawiść wszelkiej błagi, fanfaronady i dyktantyzmu stały się podwaliną wykonawczą dla tych rzesz, które tak owocnie pragnęły stać się kadrą wojska polskiego.

Zna więc gen. porucznik Sosnkowski te drogi, na których dochodzi się do zbudowania armji nie szablonową, militarystyczną budowlą. Wie, że do tego, by mieć wojsko na prawdę narodowe i przejęte ideją, nie wystarczy stosować międzynarodowe schematy „drillu” i bezdusznej mechanicznej subordynacji. Potrafi więc — na swem stanowisku organizatora — długie lata jeszcze pracować nad uwojskowieniem społeczeństwa i uspołecznieniem wojska, — nad osiągnięciem drogą organizacji tej syntezy, która może dać Polsce nowoczesnej i republikańskiej armji prawdziwie narodową.

Stary.



OBWIESZCZENIE.

MINISTERSTWO SKARBU

ogłasza niniejszem, że, w wykonaniu Ustawy Sejmowej z dnia 27 lutego 1920 r. w przedmiocie realizacji 5% krótko i długoterminowej Wewnętrznych Pożyczek Państwowych 1920 r. i na mocy rozporządzenia Pana Ministra Skarbu z dnia 24 marca 1920 r., zostały upoważnione do realizacji wyżej wymienionych Pożyczek następujące instytucje:

Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa z oddziałami, Pocztaowa Kasa Oszczędności w Warszawie, Kasy Skarbowe i powiatowe, Urzędy podatkowe, Urzędy pocztowe, Ministerstwo Kolei Państwowych z dyrekcjami kolejowymi, Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich,

oraz niżej wyszczególnione banki prywatne ze wszystkimi ich oddziałami, domy bankowe, towarzystwa wzajemnego kredytu, kasy pożyczkowo-oszczędnościowe i inne instytucje:

W WARSZAWIE:

Bank Handlowy w Warszawie,
Bank Dyskontowy Warszawski,
Bank Kredytowy w Warszawie,
Bank Zachodni,
Bank Przemysłowy Warszawski,
Bank dla Handlu i Przemysłu w Warszawie,
Bank Towarzystw Spółdzielczych,
Bank Ziemiański,
Bank Związku Ziemian,
Bank Wschodni,
Bank Kredytu Hypotecznego,
Bank Zjednoczonych Ziem Polskich,
Bank Międzynarodowy Warszawski,
Bank Komunalny,
Bank Kupiectwa Polskiego,
Warszawski Bank Stołeczny,
Bank Polsko-Angielski,
Bank Handlowy Wilhelm Landau,
Kasa Pożyczkowa Przemysłowców Warszawskich,
Drugie Towarzystwo Pożyczkowo-Oszczędnościowe,
Towarzystwo Kredytowe Ziemskie,
Towarzystwo Kredytowe Miejskie,
Syndykat Rolniczy Warszawski,
Centralne Towarzystwo Rolnicze,
Centralny Związek Kółek Rolniczych,
Związek Ziemian,
S. Natanson i S-wie, Dom Bankowy,
D. M. Szereszewski, Dom Bankowy,
F. Sokołowski, Dom Bankowy,
M. Kroll, Dom Bankowy,
Solowiejczyk i Morgenstern, Dom Bankowy,
S. Lesner, Dom Bankowy,
E. Landié, Dom Bankowy,
A. Goldfeder, Dom Bankowy,
E. Bieliński i S-ka, Dom Bankowy.

POZA WARSZAWĄ: w obrębie b. Król. kongr.

Bank Handlowy w Łodzi, Łódź,
Bank Kupiecki Łódzki,
Piotrogrodzko-Ryski Bank Handlowy w Łodzi,
Tow. Wzajemnego Kredytu Przemysłowców Łódzkich
Izba Handlowa Bankowo-Przemysłowa Polsk. Kup-
ców i Przemysłowców Chrześc. w Łodzi,
Drugie Łódzkie Towarzystwo Wzajemnego Kredytu,
Handlowo-Przemysłowe Tow. Wzajem. Kred. w Łodzi
Bank Spółek Niemieckich, Tow. Akc., Łódź,
Towarzystwo Kredytowe m. Łodzi,
Dom Bankowy Józef Kowalewski,
H. Sziff, Dom Bankowy, Łódź,
Bank Ziemi Polskiej w Lublinie,

Lubelskie Towarzystwo Wzajemnego Kredytu,
Towarzystwo Kredytowe Miejskie w Lublinie,
Drugie Radomskie Towarzystwo Wzajem. Kredytu,
Dom Bankowy J. i M. Cemach w Radomiu,
Dom Bankowy N. Waga w Radomiu,
Piotrogrodzko-Ryski Bank Handlowy w Radomiu,
Kasa Pożyczkowa Przemysłowców Radomskich,
Towarzystwo Kredytowe Miejskie w Radomiu,
Kieleckie Towarzystwo Wzajemnego Kredytu,
Towarzystwo Kredytowe Miejskie w Kielcach,
Kaliskie Towarzystwo Wzajemnego Kredytu,
Piotrogrodzko-Ryski Bank Handlowy w Kaliszu,
Towarz. Pożyczkowo-Oszczędnościowe w Kaliszu,
Towarzystwo Kredytowe Miejskie w Kaliszu,
Towarzystwo Wzajemnego Kredytu w Piotrkowie,
Towarzystwo Kredytowe Miejskie w Piotrkowie,
Płockie Towarzystwo Wzajemnego Kredytu,
Towarzystwo Kredytowe Miejskie w Płocku,
Towarzystwo Wzajemnego Kredytu w Siedlcach,
Towarzystwo Kredytowe Miejskie w Siedlcach,
Włocławskie Towarzystwo Wzajemnego Kredytu,
Dom Bankowy Jakób Hirsberg, Włocławek,
Ciechanowskie Towarzystwo Wzajemnego Kredytu,
Dąbrowskie Towarzystwo Wzajemnego Kredytu,
Konińskie Towarzystwo Wzajemnego Kredytu,
Krasnostawskie Towarzystwo Wzajemnego Kredytu,
Łaskie Tow. Wzajemnego Kredytu,
Łęczyckie Tow. Wzajemnego Kredytu,
Łowickie Tow. Wzajemnego Kredytu,
Łukowskie Tow. Wzajemnego Kredytu,
Miechowskie Tow. Wzajemnego Kredytu,
Mławskie Tow. Wzajemnego Kredytu,
Noworadomskie Tow. Wzajemnego Kredytu,
Olkuskie Tow. Wzajemnego Kredytu,
Pabianickie Tow. Wzajemnego Kredytu,
Płońskie Tow. Wzajemnego Kredytu,
Płońskie Ziemiańskie Tow. Wzajemnego Kredytu,
Sieradzkie Tow. Wzajemnego Kredytu,
Skierniewickie Tow. Wzajemnego Kredytu,
Wieluńskie Tow. Wzajemnego Kredytu,
Zamojskie Ziemiańskie Tow. Wzajemnego Kredytu,
Zgierskie Tow. Wzajemnego Kredytu,
Żyrardowskie Tow. Wzajemnego Kredytu,
Towarzystwo Wzajem. Kredytu w Zduńskiej Woli.
Rypińskie Towarzystwo Kredytowe,
Kasa Pożyczkowa Przemysłowców w Łomży,
Towarzystwo Kredytowe Miejskie w Łomży,
Piotrogrodzko-Ryski Bank Handlowy w Częstochowie,
Towarzystwo Kredytowe Miejskie w Częstochowie,
Piotrogrodzko-Ryski Bank Handlowy w Białymstoku,
Dom Bankowy E. Hirsberg, Kutno.

KRESY WSCHODNIE:

Wileński Prywatny Bank Handlowy,
Piotrogrodzko-Ryski Bank Handlowy w Suwałkach,
Towarzystwo Kredytowe Miejskie w Suwałkach.

POWSTANIE WIELKOPOLSKI.

(przyczynek do historii przewrotu z listopada i grudnia 1918 r.).

IV,

Z wielkim zdenerwowaniem czekali Niemcy w Poznaniu na dzień 3 grudnia, w którym, jak mniemali, miało nastąpić ogłoszenie oderwania Poznańskiego od Rzeszy niemieckiej. W dniu tym tajnie rozlokowali kulomioty na dachach, utrzymywali w muzeum ostre pogotowie wojskowe. Polacy wydali także same zarządzenia, tak że w dniu tym stały obydwa obozy z karabinem u nogi i tylko dzięki temu, że zajścia żadnego nie było, że brakło tej iskry, któraby wybuch sprowokowała, nie doszło do żadnych starć. Odnosiło się jednak wrażenie, że manifestacja narodowa podczas sejmiku dzielnicowego, dodała bodźca niemieckim działaczom, a ugodowość Naczelnej Rady Ludowej dodała im odwagi. Urządzili więc Niemcy niebawem wielką manifestację patriotyczną, zmobilizowali całe wojsko, wszystkich urzędników, szkoły oraz cywilną ludność i w wielkim pochodzie demonstrowali dokoła placu Wilhelma i głównymi ulicami miasta. Jednakże i ten dzień minął bez krwi rozlewu.

Praca wytężona potęgowała się z dniem każdym, a owoce jej dojrzały. Kierownicy polskiego ruchu przedstawiali kilkakrotnie komisarjatu N. R. L. plan opanowania Poznania, prosili o nawiązanie ścisłego kontaktu z wojskiem polskim w b. Kongresówce i prosili o sprowadzenie z Naczelnego Dowództwa wyższego oficera, któryby w danej chwili akcją tą mógł pokierować. Każdy z nich będąc sam młodym bez większego doświadczenia w kierownictwie i organizowaniu większych mas obawiał się wielkiej odpowiedzialności wobec narodu. Tymczasem Komisarjat N. R. L. decyzji jasnej nie dawał. Kompromisowość jego stanowiska polegała na tem, że „tolerował“ magazynowanie tajemnej broni i zwoływał raz po raz zebrania żołnierskie lub poszczególnych kierowników ruchu, a sam współpracował nad uniemożliwianiem Niemcom wywozu zapasów i dostarczał lub polecał jednostki, które zajmować miały stanowiska kontrolerów przy poszczególnych urzędach lub zastąpić usuniętych urzędników niemieckich. Czy przy obsadzaniu urzędów kierowano się zawsze względem na dobro narodowe, czy też na dobro partyjne N. Dem.—niech o tem wypowiedzą się inni.

Komisariat chciał być gotów „na wszelki wypadek“, ale sam był przeciwny wszelkiej akcji zaczepnej. I o ile dawał publiczne i poufne zapewnienia rządowi niemieckiemu lub ministrom niemieckim zjeżdżającym na narady, że spokojnie pragnie odczekać decyzji kongresu pokojowego, że sam o akcji zaczepnej, o odrywaniu Księstwa od Prus nie myśli, to możemy na tem miejscu stwierdzić, że słowa dotrzymał i dawał te zapewnienia „bona fide“. Nie zdawał sobie jedynie sprawy, że podobna akcja, (o której rozmiarach w szczegółach nie był dostatecznie poinformowany) nie mogła skoń-

czyć się niczem, że prędzej czy później musiał wybuch powstania nastąpić. Zaklinał w imieniu dobra ojczyzny, aby zaniechać wszelkiej zaczepki strony przeciwej, aby starać się gorętsze umysły odsunąć do Królestwa lub pod Lwów, bo „cały zabór pruski z Śląskiem i Gdańskiem i tak nam w udziale przypadnie“ i „spadnie nam po wyroku kongresu pokojowego jak dojrzały owoc z drzewa“ (dosłowne powiedzenie jednego z komisarzy). Przytem odwołano się na informacje i dyrektywy Komitetu Narodowego w Paryżu. Przytaczano też argument, że Wielkopolska sama oswobodzić się nie potrafi, a na pomoc Warszawy liczyć nie może, primo, ponieważ Warszawa sama nie może się uporać z Czechami i Ukraińcami, a secundo, ponieważ Piłsudski zaangażował się... wobec sojalistów niemieckich i zrezygnował z wcielenia Wielkopolski do Macierzy. Trudno było odeprzeć te argumenty wojskowym lub konspiratorom, którzy stali zdala od polityki, a w dniach listopadowych i grudniowych na nią czasu nie mieli. Nie mieli oni też informacji tajnych z Paryża, z kół stojących w kontakcie z aeropagiem ententy. Nie chcąc być luźną bandą, rozumieli, że wojsko musi mieć nad sobą władzę polityczną, której jest tylko organem wykonawczym. Bolało ich jedynie to, że są oddzieleni od armji polskiej, że nie podlegają jednemu wspólnemu dowództwu, a argumenty wytaczane przez Komisarjat nie zawsze i nie wszystkim trafiały do przekonania *). Postanowiono dlatego zasięgnąć bezpośredniej informacji od Piłsudskiego i wysłano w tym celu Dr. Mieczysława Hedingera, członka P. O. W. do Warszawy. Niestety Hedinger w drodze powrotnej wskutek nieszczęśliwego wypadku z samochodem postradał życie. Jedną z pierwszych ofiar, jakie Wielkopolska złożyła na ołtarzu ojczyzny, najgorliwszy pracownik, dzielny i nieustraszony bojownik i konspirator. Wiózł podobno ważne wskazówki i rozkazy, które były identyczne z informacjami, jakie swego czasu Jerzy Hulewicz przywiózł z Warszawy.—Wypadki tymczasem potoczyły się w tak przyspieszonym tempie, że nie można było już wysłać drugiego zaufanego do stolicy.

Całą organizację tajną w Poznaniu zaskoczyły zajścia 27 grudnia. Cała konspiracja wojskowa, a więc P. O. W. wraz z członkami polskimi rady żołnierzy zupełnie świadomie dążyła do wywołania powstania.—Zaskoczyły ją jednak prowokacje niemieckie i przyspieszyły nieznacznie chwili wybuchu.

Bohdan Hulewicz.

*) Przyjeżdżali wprawdzie z Warszawy wojskowi jak mjr. Matuszewski i kpt. Łapiński i politycy jak Hołowko, Sieroszewski i Lypacewicz, aby nawiązać z poznańskim ruchem zbrojnym kontakt, lecz byli to ludzie bez żadnych pełnomocnictw, którzy żadnym wyraźnym zleceniem osób miarodajnych wylegitymować się nie potrafili. Trzeba ich więc było traktować jak ludzi prywatnych.

Przez Autora „Kaprała Szczapy“

I BRYGADA.

Część I-sza: „Nagez!“.

Winkelryd zrobił wszystko, co uważał za stosowne. Ścisnął sobie parę razy mocno głowę, uszczypnął się boleśnie w rękę, uderzył w bok i wyszedł na przytorze. W tłumie zręcznie się przemieskał. Mając za sobą falę ludzką — jeden z pierwszych wydostał się z dworca kolejowego na Pradze, przebrnął przez harmider dorożek i szybko szedł do Warszawy.

Nie jechał dorożką dla zasady. Z dorożki nie wyskoczy zbyt prędko w odpowiednim miejscu, nie skryje się gdzieś przy bramie, za domem, czy tam, gdzie zajdzie potrzeba.

Najwyraźniej słyszy daleki, ale częsty huk armat. Podnieca go to i ośmiela. Winkelryd przyspiesza kroku. Dorożki, tłukąc bruk głośno, poczynają go mijać. Przed nim zaledwie kilku przechodniów. Przyspiesza kroku. Późna noc. Cisza na ulicach. Wstrząsnął nim dreszcz. W tej Warszawie jakoś zimno. Aha! to Wisła blisko. Stale przejeżdżające dorożki działają na Winkelryda w przykry sposób. Chciałby mieć tłumy ludzi za sobą, długie szeregi dorożek, a w tem wszystkim być niewidocznym, zatrzeć się, zniknąć.

Jakoś ludzi wcale niema.

— A bom biegł, jak warjat... Że też tramwajów niema. Napchałoby się nas przynajmniej co niemiara.

Trzeba było zwolnić kroku. Sporo ludzi poczęło prześcigać Winkelryda i wszyscy szli w kierunku ciemnej czeluści mostu. Latarnie.

— Żeby to tak jeszcze było (Winkelryd myśli o bruku) zalane deszczem... Noc, światło latarni, nastawiona buda dorożki, ktoś wraca do Warszawy po długiej niebytności i widzi mokry bruk z odbijającym się światłem.

Winkelryd czytał to gdzieś w jakiejś powieści i choć się stara — nie może sobie przypomnieć w jakiej...

— Dobrze żem spostrzegł! Przedewszystkiem: spokój! Przedewszystkiem: spokój!

U wylotu mostu — policja ludziami przegląda paszporty. Wstrzymuje dorożki, których parę jeszcze turkocze za Winkelrydem.

— Spokój! Decyzja! — Stać nie można! Nadzad? Naprzód?

— Naprzód!

Winkelryd stwierdza w zdenerwowaniu, że powziął decyzję bez zastanowienia. Dlaczego idzie naprzód? — Idzie powoli.

— Najpierw spokojnie, bo już idą — mogą zauważyć.

Zresztą mogą nie zauważyć, jak się cofnie. Winkelryd przystanął i obejrzał się.

Środkiem ulicy wolno sunie patrol wojskowy.

Jest jeszcze daleko, ale odwrót ma już Winkelryd zamknięty. Po co idzie na Pragę? — spytają z pewnością.

— Patrolowi można powiedzieć, że ci przy moście już paszport oglądali. Duże prawdopodobieństwo, że uwierzą. Ale zawsze — ryzyko.

— Duże ryzyko — daje duże zwycięstwo!

— Przedewszystkiem: spokojnie!

Winkelryd czuje, że traci głowę. Zupełnie mu miesza myśli to, że nie uplanował sobie z góry dokąd, po co, na co idzie do tej Warszawy. Wszystko to miał sobie ukartować przed Warszawą, a spał, jak ostatni idjota. Albo dlaczego nie wziął „lewego paska“. Najgorzej, jakby oni tam pod tą latarnią odróżnili „lewy“ od prawdziwego. I po co ja idę naprzód? (Ale ciągle idzie).

— Przedewszystkiem: spokojnie!

Winkelryd sobie przypomina obywatela-Sokoła ze „Strzelca“. Robociarz to był, stary bojowiec. Na ćwiczeniach pod Tyńcem opowiadał o szkole bojowców, którą sobie bardzo chwalił. Uczono ich tam sposobów opanowywania się w chwilach, groźących „wspą“.

— Dobrze jest mieć łańcuszek przy zegarku i w razie czego — zamiast się po babsku peszyć — licz sobie lepiej, człowieku, te kółeczka przy łańcuszku, a nie waz się o czem innem myśleć tylko o tych kółeczkach. I skup się cały w tym liczeniu.

— Duże ryzyko — daje duże zwycięstwo!

— Spokojnie! Spokojnie!

Winkelryda chwytaly dreszcze. Czuł dotkliwie wilgotne powietrze jesienne. Policja, huk armat. I jakoś mało ludzi... Przystanął na chwilę i ruszył szybko.

— *Stoj! Paszport!*

Winkelryd ominął policjanta i dotknął ramienia komisarza, zajętego dorożką. Odwrócił głowę zdziwiony, zezując podejrzliwie, z wyraźnym niezadowolaniem. Nie zdążył rzec słowa. Usłyszał szepcąc powiedziane słowo:

— *Kontrazwiedka.*

Objął spojrzeniem badawczem Winkelryda i krzyknął dorożce: *Projeżdżaj!*

— *Obratit'e wnimanje* — szepce Winkelryd

— Już na dworcu wiedzą, ale może zgabili (*s prosonja-to*)... Tędy może przejeżdżać ksiądz z tłustym panem. Ksiądz — nic. Zapytać o paszport dla przyzwitości. A tłustemu należy przetrząsnąć walizkę, szczególnie tę mniejszą. Mój numer: 37, sztab generała Ruzskiego.

Winkelryd dotknął kapelusza. Komisarz wyprężył się i zasalutował.

— *A etot mienja prowadjot* — wskazał Winkelryd na policjanta, który go zatrzymał. Mam sprawę pilną i rozumie pan... — zaszeptał znowu.

— *Tak toczno!* salutuje komisarz i wskazał policjantowi brodą na most. (D. c. n.).

